

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

WIELKI

Eliza Orzeszkowa

**Wielki**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

Wielki / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Nowela Elizy Orzeszkowej (1841–1910) z roku 1894, w której bohaterem jest utalentowany artysta-skrzypek, spowiadający się ze swego życia. Prawdziwy maestro, szczęśliwy i upojony sławą, zaręczony z piękną Oktawią, nagle traci niemalże wszystko. Choroba i niedowład ręki pozbawiają go tego, co dla niego najcenniejsze: umiejętności wirtuozerskiej gry. Początkowo reaguje histerycznie, z czasem przychodzi pokora. Oktawia traci uczucie do artysty i zrywa zaręczyny. Kiedy pozostaje sam, rozpoczyna refleksję nad sensem życia i śmierci. „Wielki” to jeden z tych utworów Orzeszkowej, które poświęciła zagadnieniom najwyższej wagi: wartościom ponadczasowym i uniwersalnym. Talent okazuje się być tylko tym, co należy do świata doczesnego i przemija.

# Содержание

I	5
II	10
Конец ознакомительного фрагмента.	12

# Eliza Orzeszkowa

## Wielki

### I

Syt róż i laurów, zniknąłem z widowni świata i przybyłem do rodzinnego miasteczka, aby spocząć i może na zawsze zadrzemać. Ciekaw byłbym niesłychanie: jaki proces wewnętrzny skłonił był niedawno jednego z największych w świecie twórców muzycznych do ucieczki z pola chwały na bezludną wyspę Oceanu? Byłaż to niemoc ciała, czy choroba ducha, którego dotknął pod purpurą triumfu, kurcz małości własnej i ogarnął wśród powodzi światła pomrok zwątpienia? Co on myślał, co czuł, które z najrozpaczliwszych strof Eklezjasty napełniały mu głowę, gdy ze stolicy, rzucającej mu do stóp wawrzyny i serca, uciekał pokryjomu jak skazaniec i płynął ku łądom nieznanym? Czy on także należy do rodziny tych wiecznych szperaczy, którzy dotąd rozkopują każdą grudkę ziemi, aż znajdą w niej robaka i dotąd każdą kroplę krwi rozpatrują, aż skrzepnie w brzydkie, galaretowate ciało? Musi też być synem tego rodu malkontentów, którzy wiecznie szturmują do Olimpu, aby wydrzeć mu ogień Jowiszowy, a gdy Jowisz drągiem sosnowym da im po głowie, chronią się w czeluści skalne, lecz niebawem znowu na świat wyłażą, znowu szturmują i już, już dotykając upragnionego łupu, spostrzegają, że niewart on był tego bólu głowy, którego ich nabawił drąg Jowiszowy. A może nic z tego wszystkiego nie istniało i wielki twórca dokonał fugi w podzwrotnikowe sfery dla przyczyny daleko pospolitszej, którą był katar płuc lub żołądka, wywołujący z mętów morza, blasków tęczowych żółty skielet śmierci? Bo jedną z zagadek nakreślonych długim szeregiem przed oczami najrozumniejszej z istot jest to, że objawy najpoetyczniejsze mogą posiadać na dnie prozę zupełnie gminną, a najgminniejsze wyciekać ze źródła bardzo poetycznego; więc najrozmaitsza z istot, nie dostrzegając dna i źródła, zaciekawia się i zachwyca często tem, co niewarte jednego spojrzenia, a pomija to, czemu by przypatrywać się należało z ciekawością i zachwytem. Z drugiej strony, ten skielet śmierci, dotykający nas ostrzem puszczela, wtedy częstokroć, gdy najrozkoszniej zatapiamy się w puchach życia, to także dobry kęs do przełknięcia w bigosie, którym karmi nas życie. On to przed kilku laty stanął mi w gardle i po raz pierwszy zatamował oddech tak swobodny i szeroki, żem mniemał się ptakiem, szybującym po rajskich przestworzach. Jako ptak śpiewający nadzwyczaj pięknie, byłem podziwiany, uwielbiany, w ciepłych dłoniach noszony, żywiony słodyczami najdoskonalszemi. Śpiewałem nie gardłem, ale skrzypcami. Skrzypce były mi kąpielą z wina i płomieni, ich struny nićmi, na których podnosiłem się nad ziemię tak wysoko, żem na niej nic drobnego, ani wykrzywionego dostrzedz nie mógł. One mi też były mennicą królewską, butami stumilowemi, rogiem obfitości, sypiącym kwiaty, laury i erotyki wartości wszelkich.

Bardzo rychło posiadałem sławę wielką i dość długo poczytywałem ją za niewątpliwie zasłużoną, bo kochałem sztukę szczerze i namiętnie, nad udoskonaleniem się w niej pracowałem zapamiętale, w napełniających i często aż żrących mię pożarach zapału i zachwytu dostrzegałem dowód niezbity, że jestem jednym z najuroczyściej wyświęconych jej kapłanów. W głowie mojej wrzało nieustannie morze myśli, które prawie bez udziału mego tłumaczyły się na tony; one też jednoczyły się z uczuciami do takiego upodobnienia, że sam nie potrafiłbym powiedzieć, czy mi serce w piersi biło, albo grało. Wszystko mi grało na ziemi, niebie, w ludziach, w sercu własnym. Motywy muzyczne, jak motyle wiosenne, oblatywały mię rojami i, jak orszak za królem, szły za mną wszędzie, kędym się obrócił. Przebierałem pomiędzy nimi, kaprysiłem, odrzucałem takie, które innym sprawiłyby radość i pychę, przesiewałem je przez palce jak bajeczny bogacz djamenty Sezamu, wybierałem najpiękniejsze i rozpoczynałem około nich pracę – jubilerską. Jakie nektary praca taka sączy w młodości, ten tylko wie, kto sam się poił niemi. Powtarzam: w młodości, bo później...

Pełną piersią piłem niebieskie nektary wtedy, gdy w białych świtaniach poranków i przed złotymi gwiazdami nocy ze skrzypcami i smyczkiem w rękach oglądałem swoje djamenty, szlifowałem je, rzeźbiłem, ujmowałem w oprawy misterne i rzadkie. Motyw przewodni był mi wtedy kłębkim czarodziejskim, z którego wywijają się związki i szeregi tonów, a jam je porządkował, rozciągał, ścieśniał, łączył je, wiązał, aż wytwarzał się z atomów organizm, z chaosu – świat, ten świat osobny, od wszystkiego, co otacza, wyodrębniony, sam w sobie zupełny – którym jest dzieło sztuki. Była to rozkosz, ale był to także trud, tylko żem ja pierwszej od drugiego nie rozróżniał, tak nawzajem z siebie wyciekały i tak jedno bez drugiego powstać we mnie nie mogło, aż dwa te wyrazy złąły się dla mnie w jednoznacznik taki, że mówiąc: szczęście, myślałem: praca i mówiąc: praca, czułem, że do piersi mej puka szczęście. Porywałem skrzypce w dreszczach przebiegających ramiona i plecy, opuszczałem je w ognjach piekących policzki i dłonie. Grywałem utwory cudze i swoje, ćwiczyłem się i komponowałem aż do takiego zmęczenia rąk i głowy, że w pierwszych uczuwałem przesywające bóle, a z drugiej uciekała mi myśl przytomna. Upadałem podówczas na sprzęt najbliższy jak pijany, albo powracający z podróży, nad siły utrudzającej; w piersi zaś miałem fizyczne uczucie czegoś z niej wyjętego, jakiejś przędzy, wydobytej z płuc, z serca, z nerwów, czy ja wiem? z tego może, co w języku ludzkim nazywa się duszą. Był to jakoby ślad, ciągnący się w mojem wnętrzu uczuciem słabości i ubytku. Czułem fizycznie, wyraźnie, że z siebie samego, ze swojej materji i ze swego ducha wyprądzłem coś odemnie wyodrębnionego, że mnie przez to ubyło i że ten ubytek sprawia mi w piersiach próżnię i zmęczenie. Ale zazwyczaj trwało to niedługo i kiedy trwało, nie przestawałem być szczęśliwym. Szczęśliwym i dumnym, bo do rozkoszy, którą sprawiało powstawanie i rozwijanie się pod dłonią moją piękna, doświadczałem tej, którą budzi uczucie, że ja to właśnie dzierzę moc wywoływania na świat jego objawów i układania z nich kombinacji. Pierwsze przybywały niewiedzieć skąd, jak nasiona roślin do gleby, przez wiatry nieznane do mózgu mego przynoszone; ale drugie były już dziełem tego mózgu, który je szeregował, wiązał, potęgował, wysubtelniał, wszystkie do jednego i każdy do wszystkich dostrajał, słowem, świadomie, wytrwale, ciężko pracował.

To połączenie zdolności do natchnienia i zdolności do pracy dawało uczucie potęgi przetwarzające się w uczucie dumy. Ten tylko wie, czem jest taka дума, kto w górnych strefach działalności ludzkiej przebywał i tworzył. Nie jest to pycha rodowa, albo pieniężna. Że przed setkami lat ktoś zdobył taką glorię, że jego płomyki połyskują dotąd nad czołami dalekich potomków; że Midas wygrzebał sobie z Paktoklu takie mnóstwo złota, że ono stało się jedynem jego, lecz tylko jego samego pożywieniem – to fraszki, które imponują tylko głupcom. Twórca czuje i wie, że sam przez swoją naturę wyjątkową i przez swoją pracę, odbywającą się w dreszczach i ognjach, krzesze nad czołem swoim światła glori; czuje i wie, że żywi się a nadewszystko żywi innych nie kruszczem z ziemi wygrzebanym, nie chlebem nawet z ziemi dobytym, lecz samemu niebu i wnętrzościom własnym wydzieranym pierwiastkiem piękna. Ta дума nie zawiera w sobie podłego składnika tamtych – wzgardy dla innych. Ona nie pomiata nikim, bo źródło jej wypływa ze wszystkich i na wszystkich spływać musi. Ze zbiornika uczuć i myśli, którym jest ród ludzki, powstają pieśni moje i powrotne w niego wsiąknięcie, pod postacią taką, jaką ja im dałem, jest ich przyczyną bytu ostateczną. Gdyby nie było ludzi, którzy kochają, szaleją, płaczą, pragną, ścigają, skrzypce moje nie wzdychałyby także, nie płakały, nie szalały, ani wzbijałyby się z pragnieniem ku wyżynom niedościgłym. Stąd łączność śpiewaka ze słuchaczami tak ścisła, że, jak iskra z tarcia się drzewa o drzewo, wytryskuje z niej miłość. Kochałem ludzi ze szczerością, z wylaniem, z naiwną ufnością artysty, który tak ciągle spogląda w górę, że na myśl mu nie przychodzi baczne przypatrywanie się nizinom. Wrodzony instynkt życzliwości dla ludzi rozwierał mi przed nimi usta do uśmiechów, ramiona do uścisków, sakiewkę do wysypywania na ich dłonie mamony, którą zdobywałem z radością, traciłem bez żalu. Serc, ani nawet głów ludzkich nie poddawałem rozbirowi żadnemu, mój zmysł krytyczny omijał je tak lekko, tak, powiem, głupio, jak gdybym wcale go nie posiadał, a przecież gdy szło o przedmioty oderwane, zwłaszcza o sztukę, budził się przenikliwy, surowy

i czujny. Do krytykowania bliźnich nie miałem zresztą ochoty, ani czasu; ochoty, bo przywara tak widoczna, że ja nawet dostrzedz ją musiałem, sprawiała mi przykreść taką, jaką sprawia skaza na kryształach przejrzystym, albo nuta fałszywa w akordzie, którym ucho lubować się pragnie; oddalałem się więc od zeszeconego nią człowieka, jeżeli mogłem, a jeżeli oddalić się nie mogłem, usiłowałem być ślepcem dobrowolnym, czegom tem łatwiej dokonywał, że bez ludzi i pomiędzy nimi pochłaniała mię praca dla sztuki lub mówienie, myślenie, marzenie o niej. Łatwo jest nie dostrzegać marnych pyłów ziemi temu, komu boska kochanka co dzień, co godzinę porywa duszę pod gwiazdy; łatwo też kochać, gdy serce, z przyrodzenia miękkie, topnieje ustawicznie w ogniach natchnienia i warzących się przy nich słodyczach. Czy podobna zresztą nie kochać tych, którzy tworzą sławę i nam ją w podarunku składają? Sława! ach, tak, był to, obok rozkoszy twórczych, składnik szczęścia mego bardzo ważny... Czy najważniejszy? Nie zadawałem sobie podówczas tego pytania, lecz myśl o wrażeniu, które dzieło moje i każdy jego szczegół wywrze na słuchaczy, ta to właśnie myśl, choć częstokroć nieświadoma i słowami niesformułowana, była mi krzesiwem dla zapału, chłostą dla lenistwa, trąbką akustyczną, z której pomocą ucho rozbierało świat tonów tak pracowicie i skrupulatnie, jak oko przyrodnika rozbiera świat materji zapomocą drobnowidza. Nie lękałem się przygan, owszem, zuchwale wyzywałem je nieraz śmiałością pomysłów nowych, zrywaniem wszelkich pożyczonych osłon z indywidualności własnej; lecz w imię tego, co uczuwałem w sztuce za prawdziwe i piękne, stawiając czoło naganie, żądny byłem chwalby, tej wielkiej chwalby, której składnikami są uderzenia mnóstwa serc przezemnie wzruszanych, podziw mnóstwa umysłów przezemnie wzniesionych nad poziom codzienny, oklask mnóstwa dłoni miotanych wichrem mego ducha... Miałem wszystko, co tylko w rzędzie uciech tego rodzaju istnieć może, od dziecinnej prawie zabawy do radości, która rozsadza mózg i serce. Ileż razy bawiłem się jak dziecko, gdy w wagonach, restauracjach, w różnych miejscach przelotnych zgromadzeń, na dźwięk imienia mego, wypadkiem rzuconego w tłum roztargniony, śpieszący się, znudzony, wszystko nagle postać swą zmieniał: rozmowy milkły, znudzenie pierzchało, pośpiech ustawał, zamyślenia rwały się, jak nici przecięte, a wszystkie te dusze: smutne, wesołe, poważne, płocze rzucały się naraz ku swoim oknom i, szeroko je otwierając, patrzyły na mnie z tą bojaźnią nieokreśloną, którą na wszystkich szczeblach stworzenia uczuwa drobiazg, gdy napotyka wielkość, z tą także ciekawością, którą na tle szarego życia budzi jaskrawa smuga osobliwości wszelkiej. Nie myślałem o tem, że coś podobnego zaszłoby pośród zajęcy na widok nagle zjawiającego się słonia i pośród ludzi wobec człowieka, z okiem pośrodku czoła umieszczonem. Objawy wrażeń na widok mój doświadczanych bawiły mię niesłychanie, a roztkliwiała każde dostrzeżone pośród nich uczucie natury głębszej. Zdarzało się to często. Pamiętam, raz, w okoliczności podobnej spostrzegłem w tłumie twarzy jedną, należącą do kobiety młodej, szczupłej, ani ładnej, ani szpetnej, ubożuchno wyglądającej. Było to też zapewne stworzonko ubogie, zapracowujące się prawie na śmierć dla przechowania nędznego życia sobie lub innym, jedna z tych figurek niewyraźnych, których nikt nie zna i po poznaniu jeszcze za chwilę już nie pozna. Podniosło to na mnie z pośród twarzy bladej i chudej wzrok zdumiony, złękniiony, wnet go odwróciła, znowu skierowała ku mnie i znowu powiekami przysłoniła, nie śmiać patrzeć i żądy patrzenia oprzeć się nie mogąc, aż nakoniec oczy duże, błękitne, przejrzyste i pod zmęczoną powieką bardzo młode przyglęły do mnie jak żelazo do magnesu, zrazu wahajaco się i nieśmiało, potem z zapomnieniem zupełnem o sobie i świecie, z czułością coraz rzewniejszą, same też coraz piękniejsze, głębsze, ognistsze, aż ręce w rękawiczkach u palców podziurawionych wzniosły się nieco i splotły u piersi nieświadomym ruchem uwielbienia. Miałem już zbliżyć się ku niej, wziąć te biedne, modlące się do mnie rączki, zajrzeć zbliżka przez te śliczne okna w tę śliczną zapewne duszyczkę, gdy dzwonek zabrzmiał, tłum nas roztrącił, ona kędyś u szarego końca pociągu przepadła, a ja w wagonie pierwszej klasy zapomniałem o niej rychło wśród towarzyszy, którzy przed kilku jeszcze minutami nie znający mię i nieznani, śpiesznie teraz tworzyli mi świtę usłużną, uradowaną tem, że, w jednej klatce podróżując, przypatrzeć się będzie mogła człowiekowi, posiadającemu o jedno oko, czy o jedno ucho więcej niż wszyscy. Zapomniałem o niej rychło, lecz nie na zawsze, skoro dziś ją wspominam,

dziś, gdy wszystkie zażyte świetności i radości oddałbym za posiadanie tuż przy sobie jednej takiej duszyczki w sukience ubożuchnej i rękawiczkach dziurawych, lecz mojej i zdolnej kochać... Kochać! Boże! Jaż to na brak miłości kobiecej wyrzekać miałbym prawo!... Tak, mam prawo wyrzekać na brak miłości takiej, jakiej wymagały potrzeby istoty mojej najgłębsze i dla mnie samego długo tajemne, jaka mogłaby uszczęśliwiać zupełnie i trwale. Takiej nie miałem nigdy. Były rzeczy w tym rodzaju bardzo liczne, uprzyjemniały mi życie nadzwyczajnie, ale przemijały, przelatywały, przemykały, aż przestały być przyjemnymi. Bo jest to tak, że dla samych siebie stanowią długo, albo i zawsze zagadkę, nad której odgadnięciem zbytecznie sobie głowy nie łamiemy. Próbujemy przysmaków tych, tamtych, owych, wydają się nam wybornymi, wyciągamy chciwie ręce po inne i po inne, otrzymujemy je, delektujemy się znowu, aż nakoniec, kiedy już więcej niż połowa naszej rzeki upłynie ku morzu nieznanemu, kiedy już wkrótce ma w niem przepaść i zniknąć, spostrzegamy, żeśmy głodni, że nie mieliśmy tego właśnie pożywienia, które jedynie nasycić nas mogło.

Ale wracam do sławy. Ona uczyniła mię mocarzem nietylko mnóstwa duchów, ale i ciał ludzkich. Z wyniesienia, na którym stałem, widywałem morza twarzy, z których u końca gry mojej ani jedna nie pozostawała taką, jaką była u jej początku. Tony moich skrzypiec rządziły grą ich mięśni i obiegiem krwi w ich żyłach, zaciągały je chmurami i rozjaśniały uśmiechami, kurczyły do płaczu, znieruchomiały w zadumach, wypalały na nich rumieńce i czyniły je bladymi. Widywałem młodzieńców, przedtem wątych i pochyłych, przybierających pod zaklęciem mojem postacie harde i wyzywające, mężów dojrzałych, którym sznurki łez ciekły z pod palców zasłaniających oczy, kobiety bliskie omdlenia, lub z wysileniem woli, od którego stawały się podobnymi do mężczyzn, powstrzymujące w piersi krzyki spazmatycznych śmiechów i płaczów. Były nawet takie, które mdlały i takie, którym brakowało sił do utrzymania na wodzy wywoływanego przezemnie szatana hysterji. Kiedy raz taką zemdloną wynoszono z sali, biała jej suknia prawie u stóp moich zamiatała ziemię, a czarne włosy wymknęły się z więzów i w dół spłynęły strugą siejącą perły. Alem ja grać nie przestał, nikt nie schylił się dla podnoszenia pereł, bo nikt poruszeniem najlżejszym nie chciał i nie śmiał zerwać czarui, od którego serca bić przestawały a nad salą upalną, od światła gorejącą, przez którą, wśród pstrego tłoku, z trudem niesiono postać białą i sztywną, gra moja upojona, roztkliwiona, rozmarzona, ani na mgnienie oka unosić się nie przestawała, aż gdy umilkła, tłum, jak jeden człowiek, wznosił ręce i zabrzmiął oklaskiem wściekłym, nieskończonym, zmieszonym, nie z krzykiem już, ale z rykiem piersi, które musiały w jednym, lecz ciągle powtarzanym wyrazie wyrzucić z siebie część namiętnej burzy. Innym razem, jakiś głos męski, szorstki, gniewny, krzyknął mi z głębi sali: „przestań, bo serce pęknie!”, a nazajutrz w przysłanym mi bukietcie znalazłem kartkę z tem westchnieniem, kobiecą ręką wypisanem: „O, gdybym mogła słuchając cię – umrzeć!”, Tych, ani mnóstwa innych tak ostro i głęboko przez tony moje przeszytych, nie poznałem nigdy, w pośpiechu, który gnał mię po świecie, nie dowiadywałem się nawet o ich nazwiskach, jak bogacz, posiadający skarby nieprzebrane, gubiłem djamenty ludzkich uwielbień, nie oglądając się za nimi, pewien, że ich nigdy drodze mojej nie zabraknie. I nigdy nie zabrakło. Dlaczegoż tu jestem? Bo ich już nie chcę, oto wszystko. Długo przecież dawały mi one szczęście, zawierające wiele składników różnorodnych. Czy należało do nich pospolite zadowolenie miłości własnej? Radość z triumfu sztuki ukochanej, radość z coraz nowych dowodów mojego w niej mistrzowstwa, radość tkliwa, głęboka ze związku łączącego duszę moją z duszami ludzi. Czcilem i kochałem muzykę, a danem mi było wynosić na tron moją panią i kochankę; nie mogłem wątpić, że przed jej ołtarzem palę kadzidła najwonnejsze, skoro świat upajał się niemi aż do szafu; nie miałem prawie rodziny, lecz gdy tylko smyczkiem powiodłem po strunach, mnóstwo serc było dla mnie pręcej i goręcej, niż to się zdarza zazwyczaj sercom braterskim. Myśl o mnóstwie istot, które gry mojej nie słyszały nigdy, lecz którym granie utworów moich czyniło życie lżejszem i piękniejszym, które więc musiały także, choć zdała, uwielbiać mię i kochać, wzmagająca to uczucie ścisłego związku mego z powszechną duszą ludzkości do stopnia prawie mistycznych marzeń i omamień. Wzniecać dla siebie w mnóstwie serc miłość i wdzięczność, gościć w mnóstwie umysłów, być dla nieznanych nietylko znanym, lecz ukochanym, jeżeli nie rządzić

istnieniami, to przynajmniej wpływać na nie w mierze znacznej, zbierać wszystkie tkliwości, bóle, pragnienia, tęsknoty świata i wypowiadać je we frazesach tak wyraźnych i przenikliwych, że cały świat, poznając w nich siebie, drży ze szczęścia i grozy, że odgadnięty został – to coś nakształt wszechobecności i wszechpotęgi bóstwa...

Oprócz tych rzeczy kapitalnych, mnóstwo pomniejszych: gwarne uczyty, toasty huczne, mowy i pisma w językach wszystkich cześć moją głoszące, deszcze kwiatów, liścików wonniejszych nad kwiaty, przysmaki stref wszelkich, pocałunki ust niezliczonych, pyłki przelotne coraz nowe i inne, od których życie iskrzyło się jak pod światłem przesuwany pas brylantowy. Było jeszcze ono podobne do tych win greckich, które biesiadnikom wyciągniętym na posłaniach z purpury w kraterach, z których uśmiechały się twarze bogiń, wśród dźwięków lutni, skoków tancerek, podawali paziowie o woniejących włosach... Nie Bachanalją pijaną i bezmyślną, lecz biesiadą wykwiną, gwarną, wesołą i piękną...

## II

Nagle pokój ze spuszczoneymi storami, z żółtym w zmroku płomykiem kuchenki naftowej, nad którą jakaś kobieta nieznaną w fartuchu i czepku białym przyrządza jakąś mieszaninę z ohydą barwą i wonią. Leżę na pościeli, oczyma, które przymykają się co moment, spoglądam na aksamitne obicie ścian, po którego tle amarantowem wiją się jaśniejsze nieco arabeski i myślę, że to obicie kiedyś już widziałem, tylko że było na nim więcej złoceń... ach, są i teraz, tu i tam połyskują, tylko dostrzegam je z trudnością i wzrok mi nużą tak, że powieki zamknąć muszę. Nic nie rozumiem. Gdzie jestem? dlaczego leżę? czy to noc jeszcze, albo wczesny poranek? Ale kto to ta kobieta i co ona robi? jakąś obrzydliwość przyrządza? Ach, żeby się wyniosła copędzej, razem z tem czymś rogatem i płońcem, co wydaje z siebie taki nieprzyjemny zapach!... Pani! moja pani! kto pani jest? czego pani tu... Nie mogę... mówić! Chcę mówić, a tylko ustami poruszam... Nic nie rozumiem! Aha! prawda! to po tym koncercie... byłem tak rozgrzany i przez drzwi otwarte straszny chłód... ale to przejdzie... żeby tylko kto był łaskaw... skrzypce... Cóż, kiedy prawej ręki niema... gdzie moja prawa ręka? Nie mam ręki? Pani! ręka! proszę mi oddać rękę! Aha! nakoniec mogę nie tylko mówić, ale krzyżeć! Przeleżała się, biegnie do mnie... Kto? Henryka? Nie. Dlaczego? ona powinna być tu... nie ta nieznaną! Dlaczego Henryka nie przysłała? Gdzie moja prawa ręka? Pójdę jej szukać, puście...

Mętny widok dwóch stojących przy łóżku drabów, niejasne uczucie toczony z niemi walki, śmiertelny przestach o zgubioną rękę, której stale nie czuję, wściekła żądza odszukiwania jej, której zadowolnić nie pozwalają trzymające mię draby i – koniec wszystkiego, czarna noc bezmyślności, wśród której tylko dręczy mię nieustannie cikliwy zapach i strach, okropny strach o zgubioną rękę...

Takie błyskanie i gaśnięcie przytomności powtarzało się wiele razy. Płomyk świecy zapadał na dno świecznika, wybuchał znowu, chwiał się w zdumieniu nad mglisto oświetloną rzeczywistością, aby znowu pograć się w czarnej czeluści... Przyszedł nareszcie dzień, w którym powiedziano mi, że o mało nie umarłem, ale że teraz napewno żyć będę. Podobno bakcylus tyfusowy niewiedzieć skąd zawędrował do organizmu mego, w dodatku przez drzwi wypadkiem otwarte, mroźny wiatr owiał mię po wyjściu z upalnej sali – i o mało nie umarłem...

O mało nie umarłem! Więc mogę umrzeć! To, czego unikałem wczoraj, może spotkać mię jutro, za rok, za lat kilka! Ależ naturalnie, nawet musi. Wiedziałem o tem przecież, każdy wie o tem, że jest istotą podlegającą śmierci, ale jak wie? mętnie, dorywczo, można powiedzieć, bezmyślnie, gdyż nigdy na tem wyobrażeniu nie zatrzymuje myśli. Życie porywa myśl, jak potok gałązkę niesie tak chyżo, rwie tak gwałtownie, zakręca w tyle kółek i zygzaków, że nie spuszcza się ona nigdy na dno otchłani, w której ma zginąć. Ktoś powiedział, że każdy wie o konieczności umierania wogóle, ale nikt nie wierzy w to, że sam umrze. To nieprawda. Wierzyć, każdy wierzy, ale myśleć o tem nie pozwala nikomu wartki potok życia. Mój potok był jednym z najbystrzejszych i najsumniejszych w świecie; nic też dziwnego, że gałązka ślizgała się, kręciła, skakała po roziskrzonych falach, nie mając ochoty ani czasu do spoglądania na dno otchłani. Kilka razy widziałem był umierających i umarłych, ale ten widok nie wzbudzał we mnie nic, oprócz pospolitych uczuć smutku i pożałowania. Do siebie samego nie stosowałem nigdy tej okropności. Ten i ów umarł, szkoda biedaka, jeżeli był mi bliskim, mam serce ciężkie i nawet łzy w oczach, ale muszę przygotować się do wystąpienia jutrzejszego, przerobić szczegół pewien w utworze swoim, wyrozumieć do dna utwór cudzy, złożyć wizytę, pójść na ucztę, odpisać przyjacielowi, widzieć się z kochanką... Potok rwie i nie daje czasu do zastanawiania się nad rzeczą dobrze wiadomą, ale dla mnie osobiście tak jeszcze odległą, niepewną, omgloną, że prawie niemożliwą. Wiem o tem, że jest więcej niż możliwą, bo konieczną, ale ta świadomość martwo spoczywa na dnie mego umysłu, po którym szumnie i tłumnie wirują odbicia zjawisk świata, a jeżeli kiedykolwiek obudzi się i o nieuniknionej przyszłości zaszepece, znowu ją w sen pograżam lekceważącym machnięciem ręką i zuchwałą myślą: „co tam! gdy przyjdzie, to przyjdzie i kiedy to tam jeszcze będzie!”

Nagle, wir ustał, szum ucichł, zjawiska świata, ukryte za ścianami zamkniętego pokoju, przestały odbijać się w moim umyśle. Widok ludzi i rozmawianie z nimi są mi wzbronione, leżę w ciszy ustawicznej, prawie nieruchomy od osłabienia, z wyjątkiem mózgu, który zaczyna poruszać się i pracować. Przecież życie dotychczasowe upłynęło mi w sferze wysokich zajęć umysłowych: uczyłem się, zapamiętywałem, kombinowałem, tworzyłem; towarzystwo, którego byłem członkiem i ulubieńcem, składało się z ludzi także uczących się, kombinujących, myślących i, ażeby rozmawiać z nim, przestawać, trzeba było mniej lub więcej wiedzieć, umieć, myśleć. Więc codzienną strawą mego mózgu i jednocześnie codziennym jego produktem było myślenie. Przywykł do tego i, gdy tylko zdołał, zadawałniam zaczął to przyzwyczajenie.

Przedewszystkiem ten bakcylus i to dmuchnięcie wiatru! Ileż razy słyszałem, że posiadam wielką duszę artysty i jak mocno sam w to wierzyłem! Wielka dusza! Wielki mistrz! Wielkość! Przedmiot miłości i uwielbienia świata! A istotka, wiadomo jak nieskończenie drobna, o mało mnie nie zabiła. Dmuchięcie wiatru o mało nie zrzuciło mnie ze świata! Któż mi teraz powie: kto jest większy: ja, czy bakcylus? i co jest silniejsze: podmuch wiatru, czy miłość świata? Ten powiew wiatru dotarł mi przez drzwi otwarte przypadkiem, oto więc czynnik trzeci: przypadek! Nieskończenie mały bakcylus, płochy wiatr, bezmyślny przypadek, oto trójprzymierze, które o mało nie pogrzyżyło w nicosć mojej – wielkości. A jeżeli tym razem nie uczyniło tego jeszcze, uczynić może lada dzień i lada rok, albo też wyręczy je w tem jaka inna, równie dostojna spółka. Śliczna wielkość! Lada jakie żyjątko pochodzenia niepewnego, bo niewiadomo nawet dobrze, czy jest rośliną lub zwierzęciem, lada jaki lokaj głupi czy roztargniony, który swojej wielkiej ręki w białej rękawiczce dobrze na kłamce nie oprze i – już po niej! A zdarzyć się to może – niewiadomo kiedy, właściwie zawsze, wtedy gdy w pocie czoła walczę z trudnościami swojej sztuki i gdy z szaloną radością je zwyciężam, kiedy smyczek mój jak palce rzeźbiarza glinie nadaje kształty różne ciałom i duchom ludzkim, kiedy usta moje płoną i drżą na ślicznych ustach narzeczonej... bo miałem wtedy właśnie narzeczoną, lecz schorowany mózg mój, rwąc się do myślenia, o niej myśleć nie chciał i czynił nawet wysilenia, aby w najdalsze głąbie usuwać przypomnienie, które posyłało do serca ukłócie bólu... Usiłowałem nie myśleć o narzeczonej i nie zdawać sobie sprawy, dlaczego każde przypomnienie o niej sprawiało mi ból w sercu. O śmierci zaś myślałem bez bólu, tylko ze zdziwieniem zrazu, potem z niesmakiem, a potem z ciekawością nadzwyczajną i smutkiem tak głębokim, że prawie dotykalnie czułem wsuwającą się do wnętrza ciemną chmurę. Do tego stopnia przywykłem poczytywać siebie za istotę, że tak powiem wierzchołkową, to jest u samego szczytu stworzenia umieszczoną, że pogodzić się nie mogłem z pojęciem, aby żyjątko niesłychanie liche, u samego spodu świata niewidzialnie istniejące, dzierżyło nademną prawo życia i śmierci. Zdumiewało mnie to i ogromnie upokarzało. Raz na myśl o tem, jak byłem dumny ze swych natchnień i umiejętności, ze swego tytułu twórcy, z całego siebie, zaśmiałem się tak głośno i przeciągle, że poczciwa kobiecina w białym fartuchu mniemała, iż znowu tracę przytomność i co prędzej posłała po lekarza. Przyszedł, znalazł wszystko w porządku i zapytał, co mię przed godziną tak bardzo rozśmieszyło.

– Mój konsyljarzu, rzekłem, byłem świadkiem widowiska szczególniejszego: sam w oczach własnych zmniejszałem się, zmniejszałem, aż stałem się mniejszym od bakcylusa.

– A myśmy przyglądali się panu przez mikroskop? co? – zapytał, z powstrzymywanym, lecz wyrwywającym się na usta uśmiechem.

– I w ten sposób przyglądając się, jeszcze wątpię, abyście dokładnie rozpatrzyć mogli to, co działo się i stawało we mnie.

– To jest: z panem?

– Nie; we mnie...

– Majaczenie wzroku i umysłu skutkiem wielkiego osłabienia. Zachowuj się pan spokojnie, jedz swój beefsteak, pij portwejn, a wkrótce będziesz nam znowu wielkim...

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.